Ósmego dnia była pogoda. Szliśmy szeregiem jeden obok drugiego po obłamach i zwaliskach skał, pnąc się pod górę i spychając nogami kamienie, które szybko lecąc i stukając, spadały w dolinę. Skały i kamienie były nagie, mech na nich nawet nie porastał. Zdawało się, jakby wczoraj dopiero jakiś tu druzgocący przeszedł kataklizm. Gdzieniegdzie z pośrodka łomów dźwigał się cedr samotny. Cisza grobowa, śmiertelna, ani śladu żyjącego stworzenia, ani ptaka, ani robaka, wkoło tylko zamarły obraz jakby strupieszałej przyrody. Nocowaliśmy wśród tych skał, nie mając nawet wody. Szaramowicz, chcąc rozweselić towarzyszów, próbował zanucić: „Jeszcze Polska nie zginęła…”, ale głos jego był ochrypły, zmieniony, dobywał się jakby z rozbitej i zeschłej piersi. Roześmiał się biedny sam z siebie.

Dnia dziewiątego przybyliśmy nad rzekę Miszychę. Pokazało się, że zamiast iść z zachodu na wschód, poszliśmy z północy na południe. Znaleźliśmy tu dziko rosnące niedojrzałe porzeczki, gniazda mrówek i czeremchy[[1]](#footnote-1), których łodyga wybornie nam smakowała. Rękami grzebiąc w ziemi, szukaliśmy robaków, aleśmy znaleźć ich nie mogli. Woda w Miszysze była tak bystra, że ani ryba, ani żaba utrzymać się w niej nie mogła. Zjadłszy trochę tych porzeczek, czeremchy, jaj mrówczych, napiwszy się herbaty i spożywszy za przysmak wygotowane jej liście, jakoś uczuliśmy się trochę orzeźwieni i weselsi.

Obuwie nasze rozlatywało się, odzienie podarło w strzępki, a tu ani domyśleć się było podobna, kiedy się skończy utrapiona włóczęga nasza. Szaramowicz, który najwięcej ze wszystkich miał przytomności umysłu, zachęcał do wytrwania, wmawiając w nas, że się do Chin dostaniemy. Dziewiątego dnia już wielu było tak słabych, że iść nie mogli, drudzy, silniejsi, musieli im pomagać wstawać i przeprowadzać się przez miejsca trudniejsze. Gdyśmy dziesiątego dnia ruszyli dalej w górę rzeki Miszychy, jeden z naszych towarzyszów, opadłszy z sił całkowicie, iść już nie był w stanie. Dano mu kawałek chleba i cukru, ale jeść nie mógł. Zostawiono to przy nim, wraz z wodą w głębokim drewnianym spodku, i musieliśmy go opuścić, bo wszyscy byliśmy tak osłabieni, żeśmy go unieść nie byli mogli. Powiedziano mu tylko, aby, jeśli do siebie przyjdzie, udał się w dół rzeki, a trafi do Bajkału… Dziwna rzecz, nabrawszy sił, dognał nas później, gdyśmy już spali. Tego dnia jedliśmy znowu czeremchę, mrówki, zielone porzeczki, wygotowane liście herbaty, wypiwszy ją pierwej. Kładliśmy cholewy od butów w mrowiska i obcierając potem twarz nimi, orzeźwiliśmy się trochę zwilżoną skórą. Mocno nam żal było, żeśmy z sobą psa naszego nie mieli (zginął od kuli moskiewskiej pod Miszychą) – któż wie, biedaczysko byłby nam posłużył pewnie na dobrą wieczerzę.

Szaramowicz, widząc położenie zrozpaczone, znać różne musiał mieć myśli dla ratowania nas, bo opowiadał nam, że na wszystko trzeba być przygotowanym…, że rozbitki, płynąc po morzu na tratwie, losują, kto ma ginąć, a kto ocaleć, jeśli się wszyscy pomieścić nie mogą. Pierwszy raz zabłysła ta myśl okropna, że głód może zmusić do zachowania życia ludzkim ciałem! Później w Irkucku przyznawali się wszyscy, że im podobne myśli przychodziły do głowy, tylko ich wypowiedzieć nie śmieli. Co było pomiędzy nami prostego ludu, najwięcej się obawiali, aby ich nie zjedzono.

Dnia jedenastego i dwunastego w niczym się położenie nasze nie zmieniło, jedliśmy toż samo co dni poprzedzających, osłabienie tylko było coraz większe. Robiliśmy dziennie po dziesięć wiorst, a zdawało się nam, żeśmy uszli przynajmniej trzy razy tyle. Rozmowy toczyły się różne…, najczęściej o jadle, mówiono, że i końskie mięso, jak każde inne, jeść można, a myśl o zjadaniu jednych przez drugich nabawiała nas coraz bardziej strachem i obrzydliwością.

Dnia trzynastego naszej podróży…”[[2]](#footnote-2)

\*

***Bajkalska Elegia.***

***Pamięci polskich powstańców 1866 roku***

Patrz! W odległości ćwierci wiorsty stąd,

Od tej dzwonnicy starej i drewnianej,

Gdzie pośród dzwonków brzmi strumyka prąd,

Szałasy stały tam bezojczyźniane.

Postrzępił je zawzięcie zły kułtuk.

I niebo zaglądało przez pęknięcia.

I obcych serc niepokojący stuk

Niedbale strzegli zbrojni konwojenci.

Te serca rozsądkowi swemu wspak,

I wyróżniając wolność chybotliwą,

Zmuszały pięści ściskać się wśród plag,

Ku niebu kierowały myśl ruchliwą.

W niebiosach jedna z prowadzących gwiazd,

Jak w Narodzenie Pańskie tuż zawisła.

Wygnańców wabiąc do rodzinnych gniazd,

Gdzie wody pieszczotliwe toczy Wisła.

Lecz drogę zastąpiły – tajgi pas,

Bezchlebie oraz obca obojętność.

Obrócił się we wroga nawet czas.

Zrosiła ziemię karminowa mętność.

\*

1. Czeremcha, ros. czeremsza – syberyjski czosnek niedźwiedzi. [↑](#footnote-ref-1)
2. W. Buszkat, *Opowiadanie*, s. 47-48. [↑](#footnote-ref-2)